

## Sami swoi w Filharmonii

Kontynuując dobrą tradycję prezentowania własnych muzyków w roli solistów, Filharmonia Białostocka zaproponowała w ostatni piątek lutego interesujący program abonamentowy. Zestawiony on został z dwóch przeciwstawnych gatunków muzycznych; pierwszą część wieczoru wypełniły kompozycje w obsadzie skameralizowanej, drugą — monumentalna, masywna *III Symfonia* Kamila Saint-Saënsa.

Autor takiego układu programu, chcąc być do końca konsekwentny, na początku koncertu umieścił *Preludia taneczne* Witolda Lutosławskiego, utwór dobrze znany w wersji z fortepianem, mniej natomiast w układzie z orkiestrą. Jest to kompozycja zamykająca okres folklorystyczny w twórczości Lutosławskiego. W tych pięciu miniaturach, gdzie solowa partia powierzona została klarinetowi, odzywają się echa polskich ludowych melodii i tanecznych rytmów, echa odbite wszakże od wielkiego warsztatu współczesnego kompozytora. *Preludia taneczne*, wbrew pozorom, są utworem bardzo trudnym. Podobnie jak w Chopinowskich mazurkach, czy w kompozycjach Mozarta, trudności są nie tyle natury technicznej co muzycznej, interpretacyjnej. Ten problem pojawia się zresztą zawsze, kiedy kompozytor upraszcza fakturę, redukując ją do najniezbędniejszych środków; w takich wypadkach każdy dźwięk staje się w dwójnasób ważny, staje się elementem konstrukcyjnym, nośnym.

Pierwszy klarncista Białostockiej Filharmonii — Benjamin Przeździek bez trudu poradził sobie ze wszystkimi komplikacjami zmiennych metrów, nieprostymi w tej stylistyce akcentami, wykonując swą partię bez zarzutu. Wydaje się, iż interpretacja jego zyskałaby jeszcze na wyrazie, gdyby bardziej wnikliwie potraktował stronę artykulacyjną i dynamiczną tej wyrafinowanej przeciw muzyki. Jest to jednak sprawa dyskusyjna, gdyż *Preludia* celowo można interpretować na sposób surowy, podkreślając tym samym folklorystyczne źródła inspiracji.

Następną pozycją pierwszej części "białostockiego wieczoru" był *Koncert c-moll na dwoje skrzypiec* Antonio Vivaldiego, utwór mniej znany od innych kompozycji koncertowych twórcy *Czterech pór roku*, zasługujący jednak na popularyzację, bo po prostu bardzo piękny. Muzyka Vivaldiego przeżywa już od ładnych kilkunastu lat renesans i dobrze by było, gdyby i do nas częściej docierały powiey tej czystej i świeżej, nie starzejącej się, mimo upływu stuleci, muzyki. Do tej pory wykonano u nas zaledwie siedem koncertów spośród obfitej spuścizny, liczącej samych koncertów na różne instrumenty aż 454. Nic zatem dziwnego, iż *Koncert c-moll* święcił w piątek swe białostockie prawykonanie. Było ono udane. Para solistów — Joanna Rymaszewska i Marek Gryglewski (koncertmistrz Filharmonicznej orkiestry) — wykonali swe partie z wielkim zaangażowaniem, bez którego nie może być prawdziwej muzyki. Jednakże w części pierwszej utworu, zaangażowanie to zatarło nieco interesujące rysy partytury — typowe dla barokowej poetyki efekty nagłych kontrastów dynamicznych, zaznaczone przez kompozytora już w pierwszych taktach. To wszakże drobiazgi, które nie mogą przesłonić zalet wykonania: dobrego zsynchronizowania obojga solistów, śpiewnego i ładnego dźwięku oraz żywiołowego pulsu w częściach skrajnych. Soliści zyskali poklask audytorium i byli kilkakrotnie wywoływani na estradę.

Osobne miejsce należy się osobie dyrygenta, który prowadził orkiestrę towarzyszącą solistom, a w drugiej części wykonującą wspomnianą *Symfonię* Saint-Saënsa. Zbigniew Szablewski jest młodym, ale już dobrym kapelmistrzem pracującym w Białostockiej Filharmonii trzeci sezon, Z tego właśnie powodu, że jest młody i dobry — nie wróżę mu w Białymstoku długiego pobytu (o tym ciekawym zjawisku napiszą osobno i w innym miejscu "Gazety"). W swym artystycznym dorobku ma wiele udanych interpretacji wielkiej literatury klasycznej, romantycznej i współczesnej, W Białymstoku dał się poznać jako propagator klasyki XX wieku z powodzeniem wprowadzając na filharmoniczną estradę *Ognistego ptaka* Strawińskiego, *Muzykę na smyczki, trąbki i perkusję* Bacewiczówny, *Sonety miłosne* Bairda, a także utwory Szabelskiego, Kilara i in. Obserwując trzeci sezon artystycznej pracy Zbigniewa Szablewskiego i przywołując z pamięci pierwsze jego koncerty, nie sposób oprzeć się wrażeniu znacznego rozwoju twórczej osobowości tego artysty. Kolejne jego interpretacje były coraz bardziej przekonujące, spójne wewnętrznie i oryginalne — na ile pozwalał stały warsztat pracy, czyli orkiestra naszej Filharmonii. Wykonanie *Symfonii c-moll* Saint-Saënsa (białostockie prawykonanie) było kolejnym dowodem ciągłego rozwoju umiejętności dyrygenckich Szablewskiego. To z rozmachem napisane dzieło literatury neoromantycznej pod batutą młodego dyrygenta zabrzmiało barwnie przebiegając konsekwentnie od pierwszego do ostatniego dźwięku. Dyrygentowi udało się nawet wydobyć z orkiestry

wzruszająco piękne kształty ekspresji; szczególnie utkwiły mi w pamięci pięknie wymodelowane najprostsze frazy smyczków.

**I** tutaj dostrzegałbym przejawy dojrzałości Szablewskiego; nie jest bowiem wielką sztuką epatować słuchacza monumentalnymi brzmieniami, patetycznymi napięciami czy roziskrzonymi gejzerami efektów orkiestracyjnych zawartych w partyturze; prawdziwego mistrzostwa i dojrzałości muzycznej wymagają właśnie najprostsze, takie nieco "niedookreślone" fragmenty partytury — wobec nich artysta musi zająć własne stanowisko, ujawnić, co on, nie kompozytor, ma do powiedzenia. To co mówi Zbigniew Szablewski jest coraz bardziej zajmujące.

**STANISŁAW OŁĘDZKI**